

Kato-prawica

13 września 2007

Prawicę przyłapano z ręką w cudzej kieszeni, lecz najgłośniej krzyczy ona „Uwaga! Złodziej!”. Tak jest w kwestii Kościoła.

Media prawicowe roją się od rozważań o wpływach lewicy i liberałów na instytucję Kościoła oraz na debatę poświęconą kwestiom religijnym. Wedle nich, wpływy te są ogromne i destrukcyjne, sięgając samych szczytów hierarchii oraz sedna doktryny religijnej. Oprócz zewnętrznych zagrożeń chrześcijaństwa, równie ważne, a nawet ważniejsze – przekonują oni – są negatywne tendencje wewnętrzne. W tej wizji problemu zło czai się w środku Kościoła, a jego rozsadnikami są różnorakie środowiska nie dość – wedle tej teorii – prawowierne. Co zaś jest prawowierne, najlepiej wiedzą katolicy-prawicowcy.

Zło jest stopniowalne i wielorakie. Dla jednych jego uosobieniem będzie liberalny czy „postępowy” nurt katolicyzmu, w rodzaju „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”, a zwłaszcza ci jego przedstawiciele, którzy czynnie współpracują ze środowiskami nielubianymi przez prawicę. Dla innych będzie to ekumenizm religijny lub próby zmiany stosunku wobec środowisk dotychczas „wyklinanych” (np. homoseksualiści). Dla kolejnych – nowoczesne metody ewangelizacji bądź wykorzystanie w praktyce Kościoła (choćby oprawa Mszy Świętej) różnych nowych rozwiązań. Jeszcze inni oburzają się na „lewackie” inspiracje w nauczaniu społecznym kilku ostatnich papieży. Są i tacy, którzy kwestionują zasadność i prawomocność samego II Soboru Watykańskiego, zarzucając mu „zaledwie” zbyt naginanie katolickiego kanonu w kwestii dogmatyki i liturgii, albo nie bawiąc się w takie niuanse i sugerując, że podczas jego obrad silnie zaznaczyły się wpływy dostojników Kościoła, inspirowanych bolszewizmem i wątkami masońskimi.

Nie będę tu szczegółowo zajmował się kwestią zasadności tych

zarzutów. Z jednej strony, wierni mają prawo do zaniepokojenia takimi czy innymi zjawiskami w łonie Kościoła. Z drugiej, część tych teorii bliska jest zwykłej paranoi oraz ociera się o uzurpowanie prawa do wyrokowania o kwestiach, których rozstrzyganie nie należy do zwykłych członków wspólnoty katolickiej, lecz do odpowiednich instytucji kościelnych. Nawiasem mówiąc, widać tu zwykłą niekonsekwencję, a może raczej cwaniactwo. Prawicowi katolicy często formułują pod adresem swych liberalnych odpowiedników sugestię, że Kościół i chrześcijaństwo nie są „koncertem życzeń” i że jeśli komuś nie odpowiada stosunek kleru czy hierarchów do np. praw homoseksualistów, wówczas powinien wystąpić z Kościoła, nie zaś próbować go zmieniać wbrew dotychczasowej tradycji i wykładni wiary. Jednocześnie sami kwestionują wiele decyzji i zmian sygnowanych przez osoby powołane na mocy tradycji do ich podejmowania.

Ważniejsze od rozstrzygania, jakie zmiany katolicyzmu są uprawnione – do czego zresztą nie mam ani kompetencji, ani prawa – wydaje mi się właśnie wskazanie na hipokryzję uzurpatorów oraz niebezpieczeństwo ich działań. Czynią oni bowiem dokładnie to samo, co z taką pasją krytykują – samozwańczo przyznają sobie prawo do decydowania o tym, jaki ma być Kościół. Co więcej, będąc lustrzanym odbiciem swoich ideowych przeciwników, zagrażają zarówno jedności katolicyzmu, jak i jego doktrynalnemu obliczu. Potępiając „kato-lewicę”, jak nazywają chrześcijańskie środowiska „liberalno-postępowe”, sami tworzą „kato-prawicę”, która traktuje Kościół i chrześcijaństwo czysto instrumentalnie, a z jego doktryny wybiera tylko to, co jest dla niej wygodne.

Są oczywiście pewne stałe ramy doktryny katolickiej oraz praktyki Kościoła w kwestiach zarówno zasad kultu religijnego, jak i postępowania wobec poza-konfesyjnych zjawisk i problemów współczesnego świata. Katolicyzm ma długą tradycję i wielokrotnie potwierdzone zasady wiary i dogmatyki, których nie można zmieniać ot tak sobie, na czyjeś życzenie czy

zawołanie. Rzeczywiście, Kościół nie jest koncertem życzeń, a jego hierarchowie – chłopcami na posyłki rozmaitych grup interesu. Nie zmienia to faktu, że Kościół przez wieki był organizmem żywym, ewoluującym i określającym się zarówno wobec zmiennych zjawisk, jak i tego, co dopiero, czasem zupełnie znienacka, pojawiło się w toku biegu dziejów. Czy były to nowe prądy intelektualne, czy nowatorskie wynalazki techniczne o dalekosiężnych skutkach, czy procesy społeczne – Kościół wypracowywał swoje stanowisko w oparciu o szczegółowe rozpoznanie sytuacji, nie zawsze kierując się tradycją, gdyż często chodziło o zjawiska bezprecedensowe w dziejach. Co więcej, nierzadko na przestrzeni zaledwie kilku dekad znacząco zmieniał się oblicze danego problemu. Inne aspekty określały „kwestię robotniczą” pod koniec XIX wieku, w realiach „dzikiego” kapitalizmu, inne zaś w epoce powojennych ustabilizowanych welfare states. Inne były zagrożenia związane z kulturą konsumpcyjną w epoce niedoborów produktów oraz istnienia licznych barier w dostępie do nich, inne zaś są one w czasach, gdy w sporej części globu bieda oznacza nie brak pożywienia czy dachu nad głową, lecz dystans w kwestii posiadanych dóbr realnych i symbolicznych wobec tych, którzy mają ich jeszcze więcej.

Kościół katolicki okazał się instytucją trwałą, potrafiącą przetrwać kolejne epoki i ogromne zawirowania dziejowe między innymi dlatego, że umiejętnie łączył wierność fundamentom doktryny z adaptacją do pojawiających się wyzwań i przeobrażeń. Gdyby chciał być zbiorowością, której członkowie drżą z obawy przed każdą kolejną „nowinką” i nie potrafią zmienić swej pozycji ani o centymetr, nigdy nie zyskałby ogromnych wpływów i znaczenia. Byłby zapewne czymś na kształt Amiszów – ortodoksyjnej sekty dziwaków, sympatycznej, ale jednocześnie w oczywisty sposób „bezpłodnej” w kwestii mierzenia się z wyzwaniami realnego świata. Terminem, który najlepiej określa charakter Kościoła, wydaje się być „rewolucja konserwatywna” – próbuje on dokonać daleko idących zmian w obliczu świata i duszach poszczególnych ludzi,

rozumiejąc jednak, że są pewne granice, poza którymi zmiany przestają mieć wartość lub obracają się we własne przeciwieństwo. Mówiąc inaczej: nie wszystko jest możliwe, ale wiele można zmienić.

Kościół sytuuje się poza dychotomią lewicy i prawicy. Z jednej strony, jest rewolucyjny – bo bez wątpienia taki właśnie charakter miał Chrystusowy bunt przeciwko pogańskiej „realpolityce” oraz ufundowany na nim Kościół, nowa wspólnota wiernych, ukonstytuowana ponad dotychczasowymi tradycyjnymi podziałami, np. etnicznymi czy warstwowymi. Z drugiej strony, jest konserwatywny, gdyż trafnie rozpoznając wiele ograniczeń natury ludzkiej (znakomicie symbolicznie wyrażonych w doktrynie o grzechu pierworodnym), zaleca ostrożność wobec zbyt śmiałych planów, wizji i rozwiązań w świecie doczesnym. Zagroženiem dla Kościoła są tyleż postulaty zbyt liberalne, usiłujące go zepchnąć na pozycję całkowitej spolegliwości wobec wymogów „ducha czasu” i zmieniających się trendów, jak i zbyt konserwatywne, próbujące uczynić zeń strukturę skostniałą, przenikniętą duchem obleżonej twierdzy.

„Kato-prawica” usiłuje nas przekonać, że jedynym zagrożeniem dla Kościoła jest zbyt uleganie różnym „nowinkom” – doktrynalnym, obyczajowym, formalnym, społecznym. Kreśli ona obraz lewicowo-liberalnych spisków i knozań, mających sprawić, że katolicyzm stanie się zupełnie pogodzony z dzisiejszą „cywilizacją śmierci”. O ile jednak taki obraz zjawiska nosi pewne – choć nie aż tak wielkie – znamiona prawdy w odniesieniu do najbardziej rozwiniętych krajów świata, o tyle w Polsce, wbrew namolnej propagandzie, jest to problem marginalny, a wpływy „kato-lewicy” pozostają wśród ogółu wiernych znikome. Jeśli coś zagraża polskiemu katolicyzmowi, to bynajmniej nie liberalno-chrześcijańska rubryka w „Gazecie Wyborczej”, „Tygodnik Powszechny” czy kilka niszowych periodyków, bo ich wpływ na wiernych jest znikomy. Tym zagrożeniem jest natomiast raczej ogólna bylejakość polskiej formacji religijnej i „pokazowy” charakter kultu religijnego.

Swoje robi także naiwność i prymitywizm sporej części kleru, oceniającego postawy wiernych w kategoriach czysto ilościowych, np. wedle częstotliwości udziału w nabożeństwach, nie zaś według znajomości prawd wiary oraz stosowania się w codziennym życiu do zasad moralności chrześcijańskiej (tę ostatnią zresztą sprowadza się głównie do kwestii seksualnych – zatem za dobrego katolika uchodzi typek gardłujący przeciwko pornografii, który jednocześnie w swej firmie traktuje pracowników jak niewolników). Wydaje mi się nawet, że większym zagrożeniem niż „postępowe” środowiska chrześcijańskie, jest dla polskiego Kościoła właśnie „kato-prawica”. Ona bowiem ma większy wpływ na wiernych.

Czytając polską prasę prawicową, dowiemy się głównie o konflikcie czy wręcz fundamentalnej sprzeczności między katolicyzmem a nurtami lewicowymi. Przypominają więc nam one, że różne lewicowe ugrupowania i teorie zostały mniej lub bardziej dobitnie potępione przez Watykan – czy to marksizm, czy teologia wyzwolenia. Dowiemy się też, że chrześcijaństwo było wyłącznie prześladowane przez wszelkie „postępowe” ruchy i zrywy społeczne – rewolucja francuska, meksykańska i październikowa, wojna domowa w Hiszpanii, wszędzie tam tysiące zamordowanych katolików obciążają sumienia „postępowców” i w efekcie raz na zawsze wyjaśnia to ponoć prawdziwe cele i zamiary środowisk nie-prawicowych. Z tej wizji nie dowiemy się jednak, iż choć Kościół odrzucił marksizm, to jego doktryna społeczna bardzo poważnie potraktowała problem kapitalistycznego wyzysku i bynajmniej nie uznała, że jest to kwestia wydumana. Nie dowiemy się także, iż oprócz rzeczywistych konfliktów – nierzadko krwawych i zbrodniczych – między różnymi emanacjami tendencji lewicowych a chrześcijaństwem, istniały także przykłady zgoła odmienne, jak choćby silnie chrześcijańskie inspiracje wielu środowisk socjalistycznych na płaszczyźnie idei czy konkretnych inicjatyw (choćby amerykański ruch skupiony wokół pisma „Catholic Worker”).

Historia katolicyzmu to nie tylko odcięcie się od najbardziej skrajnych nurtów teologii wyzwolenia, ale także liczne encykliki społeczne, mocno krytykujące kapitalizm, czy całe nauczanie Jana Pawła II o godności pracy ludzkiej, konieczności szacunku i przestrzegania praw pracowników najemnych i społecznej odpowiedzialności posiadaczy środków produkcji. Tymczasem jeśli „kato-prawica” zachwyca się np. Gilbertem Chestertonem, to jedynie jako wspaniałym obrońcą wiary i Kościoła, przemilczając równie istotny wymiar jego rozważań, czyli konsekwentną, wieloaspektową krytykę tzw. wolnego rynku i przypisanych mu jako reguła – nie zaś wyjątki – negatywnych tendencji.

O ile część „kato-prawicy” przypomina groteskową sektę – tęskniącą za św. Inkwizycją, przywróceniem monarchii, ustanowieniem „religii państwowej” i „zdelegalizowaniem” liturgii mszalnej w językach narodowych – o tyle jej bardziej cywilizowana część ma znaczne wpływy w mediach i od lat skutecznie urabia opinię publiczną. To doprawdy paradoksalne, a raczej przerażające, że w ojczyźnie Papieża-Polaka, na cześć którego wiwatowały milionowe tłumy i któremu postawiono setki pomników jak kraj długi i szeroki, niemal wszystkie czasopisma katolickie propagują prymitywną ideologię wolnorynkową w sferze gospodarczej, a w kwestiach kulturowych jak papuga powtarzają bzdurne slogany wymyślone przez jankeskich troglodytów.

Sączą one czytelnikom wywody o błogosławieństwach wolnego rynku – jeśli go krytykują, to najwyżej za to, że bywa „niemoralny” (bo oferuje np. pornografię), nie zaś za oparte na wyzysku i pogardzie stosunki pracy, nie za propagowanie myślenia materialistycznego i skrajnie utylitarnego (a przecież to właśnie na takim podłożu wyrasta później pornografia czy akceptacja aborcji), nie za to, co w Biblii określano mianem „kultu Złotego Cielca”. Jeśli piszą o patologiach społecznych, to wyłącznie przez pryzmat błędów poszczególnych jednostek, nie zaś piętnując istniejące

uwarunkowania systemowe, które niezwykle silnie oddziałują na społeczeństwo, znacznie ułatwiając jego członkom popełnianie grzechów.

Jako remedia również nie są proponowane rozwiązania długofalowe, sięgające sedna problemu i oparte na poszanowaniu godności człowieka. Oł, dobry szeryf pozamyka i wystrzela złych przestępców, Caritas łaskawie nakarmi głodne dzieci, a biznesmen-filantrop w ramach kaprysu zakupi nowy ambulans dla szpitala. Natomiast za prostytutki trzeba się dużo modlić, żeby przestały zarabiać ciałem i zechciały „żyć godnie”, pracując na kasie w hipermarkecie za 1000 zł miesięcznie. Tak w skrócie wygląda polska katolicka refleksja społeczna – jest to mieszanka XIX-wiecznych zabobonów ekonomicznych oraz „odkryć” neokonserwatywnych amerykańskich think-tanków, które wielki biznes opłaca za głoszenie bzdur korzystnych dla niego. Czy będzie to popularny katolicki tygodnik „Gość Niedzielny”, czy chrześcijańsko-prawicowa publicystyka „Rzeczpospolitej”, czy periodyki intelektualne tego środowiska, zawsze jest to podobny zestaw banałów i propagandowych hasełek. A rzecz dzieje się w kraju, z którego pochodził Jan Paweł II – tymczasem dowolna z jego encyklik społecznych ma wymowę pozwalającą ten zestaw „kato-prawicowych” idiotyzmów odesłać tam, gdzie jest jego miejsce i skąd pochodzi, czyli wprost do diabła.

„Kato-lewicowcy” przedstawiają siebie nierzadko jako katolików heterodoksyjnych, poszukujących odpowiedzi nawet kosztem stuprocentowej wierności doktrynie. Tak też są oceniani przez swoich oponentów i krytyków – jako „zdrajcy”, „odstępcy” i „mściciele”. Natomiast „kato-prawicowcy” na każdym kroku podkreślają, że stanowią opokę Kościoła, że ani na jotę nie odejdą od kanonu wiary. W kwestii „kato-prawicy” można zatem z pozycji kogoś, komu leży na sercu dobro Kościoła, sformułować taką prośbę: chroń nas Boże od przyjaciół, bo z wrogami sami sobie poradzimy.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)